

Legalność jako broń

W demokratycznej republice nie ma rzeczy ważniejszej, niżli wiążące rozstrzygnięcie, czy władza polityczna, niezależnie od tego, jak zapatrujemy się na jej praktyczne działanie, jest, czy nie jest legalnie uprawnomocniona. Idzie tu bowiem o samo sedno systemu legitymizacji, którego zniszczenie sprawia, że władza tracąc uznanie swej prawomocności, przestaje się różnić od zorganizowanego gangu albo mafii.

Ten wymyślony przez prawniczych koryfeuszy scenariusz otwartej delegalizacji nowo wybranej głowy państwa się nie zdarzy, co najmniej z dwóch powodów. Najpierw dlatego, że dość kategorycznie odmówił współdziałania Marszałek Sejmu, bez którego ów specyficzny przewrót w imię legalności jest nie do przeprowadzenia. Nawiasem mówiąc, oświadczenie marszałka Szymona Hołowni, wedle którego: „jeżeli ktoś chce robić w Polsce zamach stanu, to nie będzie go robił ze mną”, jest bodaj pierwszą doniosłą deklaracją, jaką wygłosił od chwili przejścia z show businessu do polityki. Ale też – trzeba to przyznać – deklaracją sprawczą, wygłoszoną we właściwym momencie, z wyczuciem interesu państwa, i co najciekawsze – z poskromieniem własnej ambicji. Powód drugi zaś jest taki, że za konceptem przewrotu w imię legalności nigdy wprost nie opowiedział się przywódca obozu władzy – Donald Tusk. A ostatnio w zasadzie odrzucił ów drastyczny koncept, zapewne po tym, jak musiał realistycznie skonstatować, iż płynąca z jego partii propaganda, kwestionująca wynik wyborów prezydenckich, wywołuje gwałtowne spadki zaufania społecznego do partii, a na dodatek cała

trójka koalicyjnych partnerów dość jednoznacznie dystansuje się od tej propagandy. Najwyraźniej premier woli nadal prowadzić własne „gry i zabawy” z legalną prawomocnością głowy państwa, niżli otwarcie odmówić jej legalności, z daleko idącymi konsekwencjami.

Być może zatem w ogóle nie należałoby rozprawiać o scenariuszu przewrotu w imię legalności, gdyby nie jeden szczegół. Ów szczegół – to publiczne figury, które od jakiegoś czasu zgodnie doń namawiają. To przede wszystkim koryfeusze świata prawniczego i byli prezesi Trybunału Konstytucyjnego: Marek Safjan i Andrzej Zoll. Ten pierwszy przedstawił zarys legalnych podstaw przewrotu, zaś drugi rozwinął publicznie ów koncept w szczegółach. Safjan zyskał nawet z tego tytułu pewną popularność memiczną, gdyż w krótkim odstępie czasu najpierw dowodził, iż zaprzysiężenie nowego prezydenta nie wymaga stwierdzenia ważności wyborów przez sąd, a następnie – z równą pasją, że jednak bez uprzedniego sądowego stwierdzenia przysięga od prezydenta nie może być odebrana. Mniejsza o to. Wiadomo, że przed wyborami Safjan bał się konsekwencji braku sądowego orzeczenia w sytuacji zwycięstwa Trzaskowskiego, a po wyborach chce uniemożliwić objęcie urzędu zwycięskiemu Nawrockiemu. To realistyczne, choć trywialne wytłumaczenie logiki stosowanej w zasadzie przez wszystkich zaangażowanych polityków partyjnych, zwłaszcza gdy stawką jest walka o władzę.

Rzecz jednak w tym, że ani Safjan, ani Zoll nie występują w roli partyjnych polityków wiodących spór o władzę. Przeciwnie, na scenie publicznej obsadzeni są w roli autorytetów prawniczych, wypełniających misję oświecania tak polityków, jak i obywateli, co do tego, co jest, a co nie jest w państwie legalne. Tymczasem w demokratycznej republice nie ma rzeczy ważniejszej, niżli wiążące

rozstrzygnięcie, czy władza polityczna, niezależnie od tego, jak zapatrujemy się na jej praktyczne działanie, jest, czy nie jest legalnie uprawomocniona. Idzie tu bowiem o samo sedno systemu legitymizacji, którego zniszczenie sprawia, że władza tracąc uznanie swej prawomocności, przestaje się różnić od zorganizowanego gangu albo mafii. Tym samym opór wobec takiej władzy nie tylko nie jest już deliktem przeciw porządkowi konstytucyjnemu, ale staje się czymś na kształt powinności obywatelskiej. Dlatego właśnie igranie prawomocnością zawsze jest w gruncie rzeczy skrywanym nawoływaniem do buntu, zaś tyranobójcom, jeszcze od czasu Harmodiosa i Aristogejtona, republika zwykła stawiać wzniosłe pomniki.

Jak zatem dokonać rzeczywistego „coup d’etat”, ale tak, by posłużyć się po temu narzędziami legalności i prawomocności, a więc zachować co najmniej pozory ocalenia systemu legitymizacji? Prezentacja Zolla jest w tej mierze przemyślana i kompletna. Streśćmy ją zatem krótko dla jasności obrazu. Otóż większość parlamentarna winna obwieścić nieważność sądowego stwierdzenia ważności wyborów, przywołując znane orzeczenia luksemburskiego trybunału UE. Zgodnie z konstytucją marszałek sejmu musi w terminie zwołać Zgromadzenie Narodowe, ale natychmiast po rozpoczęciu obrad winien je zawiesić (skądinąd znany chwyt stosowany nagminnie w czasach sanacji wobec sesji sejmu). Wtedy skończy się kadencja prezydenta Dudy, a pełnienie funkcji głowy państwa przejmie marszałek Hołownia. Na ten moment trzeba mieć gotowe do podpisu dla Marszałka Sejmu, uchwalone przez obie izby ustawy, które zmienią ustrój państwa, a przede wszystkim sądownictwa, wyrzucając z zawodu sędziów mianowanych przez Dudę (to przecież neo-sędziowie). Dobrze by też było przy tej okazji wprowadzić prawa umożliwiające przejęcie innych instytucji publicznych przez obóz władzy (w domyśle – Zoll nie wymienia ich

wprost) np. IPN-u, czy Trybunału Konstytucyjnego. No i przede wszystkim stworzyć taki skład Sądu Najwyższego, który umożliwiłby każdy dalszy manewr w kwestii wyborów prezydenckich: ich zatwierdzenie, albo powtórzenie, w zależności od interesu większości sejmowej.

W fascynującym prawniczym eseju na temat konstytucji weimarskiej, napisanym jeszcze w roku 1932, a więc w czasach demokratycznej republiki, Carl Schmitt analizował zjawisko typowe dla ustroju Niemiec tamtego czasu, polegające na instrumentalizacji idei legalności i prawomocności, jako taktycznej broni używanej do pokonania i eliminacji politycznego przeciwnika. Schmitt uważał, że działać się tak może tylko w słabym państwie, i to wyłącznie wówczas, gdy za sprawą dominującej teorii prawniczej koncept legalności i prawomocności udaje się sprowadzić do „roli techniczno-funkcjonalistycznego narzędzia”. W słabym państwie partyjne ośrodki władzy znajdują się pod ciągłą presją, aby „wykorzystać moment swojej władzy, wyprzedzić przeciwnika politycznego i wszelki rodzaj uprawomocnienia potraktować jako broń w walce politycznej” – pisał Schmitt. „Legalność i prawomocność stają się wtedy narzędziami taktycznymi, którymi każdy posługuje się tak, jak to jest w danym momencie dla niego korzystne, które porzuca, gdy zwracają się przeciw niemu, i które wszyscy nieustannie próbują wyrywać sobie z rąk”. Jednak „żaden system legitymizacji nie przetrwa degradacji do roli techniczno-funkcjonalistycznego narzędzia”. Więc Schmitt konkluduje: „Legalność, prawomocność i konstytucja nie przyczyniają się wtedy do zapobiegania wojnie domowej lecz do jej zaostrzenia” (Carl Schmitt, *Legalność i prawomocność*, s.150-151, Warszawa 2015).

To co najciekawsze w tej przenikliwej analizie, to diagnoza użycia legalności jako broni, którą wszyscy wrywają sobie z rąk. W takiej walce, w której aby zniszczyć wroga trzeba umieć z legalności ukreć nań śmiertelny bicz, protagonistami polityki stają się prawnicy. Koryfeusze świata prawniczego – tacy jak Safjan, czy Zoll są bezcenni, nawet wtedy, gdy realni przywódcy partyjni uznają, że posłużenie się owym uzbrojonym konceptem legalności mogłoby się okazać dla nich samych nazbyt ryzykowne. Prawnicy, niczym szefowie sztabów armii na polach bitew, pokazują dowódcom możliwe do podjęcia kierunki natarcia, które przy pewnym ryzyku, dają szanse na pobicie i eliminację wroga. W 1932 roku Schmitt nie mógł mieć jasności tego, że sam stanie się za jakiś czas tego rodzaju prawnikiem dla nazistowskiego reżimu. I kiedy pisał esej o konstytucji weimarskiej przebijała z niego pogarda dla prawników odpowiedzialnych za taką „degradację systemu legitymizacji”. Widział w nich sprawców gorszącej deprawacji państwa, w którym odwoływanie się do tego, co rzekomo formalnie prawomocne, nie służy już regulacji naturalnego konfliktu pomiędzy wolnymi ludźmi, ani budowie wspólnoty, ale tylko „zaostrzeniu wojny domowej”. Prawnicy, którzy uzbrajają legalność, po to by oddać tak skonstruowaną przez siebie broń partyjnym politykom, wrywającym ją sobie potem nawzajem z rąk, są sprawcami niszczenia wspólnoty politycznej i zaniku zbiorowego instynktu państwowego. Dlatego właśnie tak ciężka jest polityczna wina dzisiejszych polskich koryfeuszy prawniczych.

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn / ArtService / Forum

Wszystkie felietony Jana Rokity „Z podbieszczadzkiej wsi”